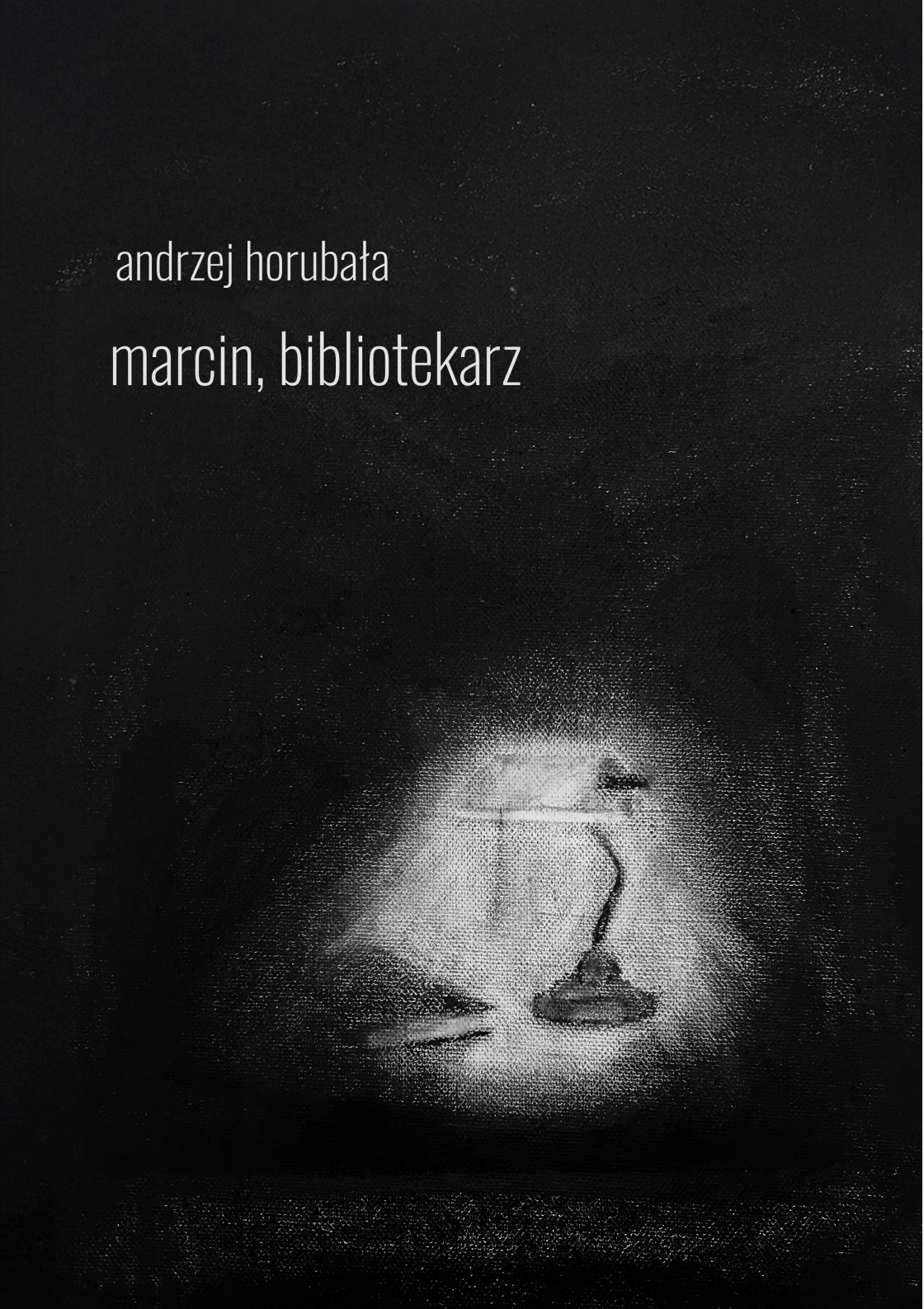
andrzej horubała

marcin, bibliotekarz



Andrzej Horubała

Marcin, bibliotekarz

I nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma na świecie nikogo, nad czyim grobem bym zapłakał. Nie ma.

Dziwne wrażenie.

Moje serce nie tyle skamieniało, co raczej zdrewniało, zeschło.

Pochowałem ojca, opiekując się nim aż do końca. Aż do końca, który powitałem z ulgą, ale gdy wyprostowałem się i pomyślałem o przyszłości, nie dostrzegłem tam już niczego. Nagle sam stałem się stary.

Z przyzwyczajenia składam czasem ręce do porannej modlitwy i widzę, jak życie bliskich mi niegdyś osób jest mi dokładnie obojętne. Czy siostra ze swoimi trzema synami, czy dawni przyjaciele. Mogą żyć, mogą umrzeć. Przecież w końcu to się musi stać. Taki los pisany nam wszystkim, nie poradzisz. Oczywiście tak wyraźnie nie chcę o tym myśleć, bo my w ogóle nie mamy odwagi, by dopowiadać sobie wszystko do końca. W zawieszeniu są więc nasze przekonania, niewyostrzone, ale gdy się wypowie pewne słowa, to nie ma odwrotu.

Nie ma na świecie nikogo, nad czyim grobem bym zapłakał.

Bliscy? Znajomi? Nagła informacja o nowotworach wykrytych w ich ciałach, rozsyłanie nerwowych esemesów, rozpaczliwy post na facebooku – kompletnie mnie to nie obchodzi. Niech sobie umierają w otępieniu albo niech łapczywie chwytają się nadziei, męczą na chemioterapiach, proszą o wsparcie, z błagalnym napięciem wpatrują w wyniki badań, licząc że zmora odejdzie. Sztywny i obojętny będę się przyglądał temu widowisku i choć głośno tego nie powiem, pozostanę nieporuszony. Dobra, coś tam może wymamroczę, dam emotika, ale to tak na odczepne.

Siostra? Samochodowy wypadek? Śmiertelna choroba? Kiedyś to musi nastąpić, pewnie, że straszna rzecz, drastyczne szczegóły, ale –

bądźmy szczerzy – odbierać to będę jak odległą historię, zwykły obrót rzeczy… Jak przez dźwiękoszczelną szybę.

Otępiały.

Nie ma na świecie nikogo, nad czyim grobem bym zapłakał.

Może i chciałbym inaczej. Ale patrzę w swe serce i nawet nie mam siły na przerażenie samym sobą. Myślałem dawniej, że osiągnięcie takiego stanu skłoni mnie do rozpaczliwej modlitwy o nawrócenie serca, do choćby strzelistego aktu, intensywnego westchnienia, skupienia się, do emocjonalnego wysiłku, a ja cóż, uśmiecham się gorzko i mówię: nic mnie nie obchodzi. Niestety.

Nie że źle życzę innym. Jest mi tylko wszystko jedno.

Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, byłbym niczym. I to „niczym" dźwięczy pustym echem w mojej głowie i powoduje dziwaczny uśmiech satysfakcji. Zgadza się. Miedź brzęcząca? Cymbał brzmiący. No i co z tego? Ładnie powiedziane. Trafnie.

Odrzucam świat, odpycham go. Nie pokocham już.

Razem z tym odchodzi ten cały internetowy chłam, który zajmował uwagę: błazeństwa polityków, piłkarskie zmagania, inwestycje, nowe przeboje, propozycje na filmowych portalach. Nic to niewarte, jak i nic niewarte losy bliskich mi kiedyś osób. Pustka. I to pustka, której się już nie boję. Patrzę w nią, przypatruję jej bezbrzeżnej szarości, przechodzę przez monotonię kolejnych dni i nie ma we mnie siły na łzę… Nie ma.

Nie mówię o tym nikomu. Gdy ktoś, jakaś osoba sprzed lat, napotkana przypadkiem, prosi mnie o modlitwę za stareńkich rodziców, to kiwam głową, obiecuję oczywiście, że się pomodlę, ale przecież, nawet gdybym jeszcze wierzył w boskie interwencje – a ludzie sądzą, że wierzę, nic nie wiedzą, co dzieje się w mojej duszy – to

bym się nie modlił, bo i po co? Przecież ludzie muszą kiedyś umrzeć. Taka jest kolej rzeczy.

Może zresztą na swój sposób wierzę, przecież jeszcze odnoszę się do Boga. Tylko trochę inne mam o tym wszystkim wyobrażenie niż dawniej.

A ludzie, którzy odchodzą? Że co? Że powinienem z czułością odprowadzać ich na tamten świat? Że powinienem rozpaczać, że tu pustka po nich będzie krzyczeć, że bez nich ten świat nie będzie taki sam. Uspokójcie się. Naprawdę nic się nie zdarzy. Nawet ci kreatywni, zdolni. Bez tego czy owego będzie może bardziej nudno, nie wyrychtuje kolejnej piosenki, nie upichci spektaklu, ale na jego miejsce przyjdzie inny, to go się wylansuje, więc nie ma co się szarpać.

Jakiś rozczulający się nad sobą katolicki pisarz napisał: kocham cię, to znaczy chcę, żebyś był. Oj, jak się napiął, jak wzruszył! Jak go potem cytowali! Kocham cię, to znaczy chcę, żebyś był. Sam się zdemaskował, przecież to po prostu swoista forma egoizmu. Kocham cię, więc jasne jest, że chcę, żeby było nam miło, więc żyj. No tak, tylko że ja jestem sam. Zupełnie sam.

Co mnie obchodzi przerażenie, z jakim ktoś odczytuje wyniki badań. Nie, nie będę emocjonował się nerwowym rozrywaniem przez kogoś złowieszczej pomarańczowej koperty z czarnym tłustym nadrukiem. Mało mnie obchodzą złowieszcze flagi przy tabelkach z laboratoriów. Nie będę nikogo trzymał za rękę i pocieszał choćby spojrzeniem. Nie dla mnie to, nie.

Gdy identyfikowałem w szpitalnej piwnicy żółtawo siny worek skóry wypełniony zepsutym mięsem, będący dwa dni wcześniej moim ojcem, mężem szlachetnym i prawym, gdy przez miesiące całe opiekowałem się nim, tracąc powoli rozróżnienie między jego

bezwładnym odwłokiem a moim podstarzałym ciałem, gdy daremnie czekałem na pomoc mojej siostry, która zdobywała się raz na tydzień na telefon z Poznania ze słowami otuchy, to co, to przecież wtedy właśnie wysychało we mnie serce.

Patrzyłem na losy moich rówieśników, tych zdrowych jeszcze, ruchliwych, skądś tam dobiegały odgłosy ich zaangażowania, ich przekonań i nadziei, a ja widziałem, jak to wszystko zmierza ku klęsce. Szamotali się jeszcze zasilani pokarmem z internetu i telewizora, angażowali w sprawy odpowiednio podkręcone przez algorytmy, szli w gromadne uniesienia, ale wszystko to jak psy Pawłowa reagujące na zdefiniowany impuls. Wydawało im się, że zmieniają świat, doznając moralnych wzmożeń, sądzili, że od ich stymulowanych przez internet reakcji cokolwiek zależy. Wracali niektórzy rozgorączkowani z demonstracji, ekscytowali się wpisami politycznych liderów, lajkowali posty, preparowali internetowe tablice.

Jak będą za to sądzeni? Co będzie policzone za zasługę, a co ich obciąży? Przecież po prostu ulegali mechanicznym impulsom. Dostawali odpowiednio podkręcony komunikat o złu i doznawali poruszenia, któremu dawali wyraz w internetowych notkach albo lajkach. Sterowani spreparowanym obrazem świata. Mam z nimi współczuć, mam się ekscytować ich podnieceniem? Jestem już na to trochę za stary. O wiele za stary. A i oni też mogliby zachować odrobinę dystansu.

I na jaki sąd liczą? Że Pan Bóg, Sędzia Sprawiedliwy, oddzieli fałsz od prawdy, odklei ich zdeformowane wyobrażenia o świecie i spojrzy na to obiektywnie? A może będzie doceniał ich szlachetność?

Ale co to za szlachetność, skoro jest to po prostu mechaniczna odpowiedź na odpowiednio przyrządzone informacje. Widzisz twa-

rze prześladowanych, słuchasz jękliwych relacji ofiar, to i reagujesz i sycisz się swoją szlachetnością… I wszyscy mają być usprawiedliwieni? I katole goniący kota pedałom i lesbom, bo dostali przekaz o tym jak sodomia kazi planetę, i aborcjonistki, które sądziły, że prawo do spędzania płodu jest przyrodzonym elementem wolności? Zaangażowani politycznie miłośnicy liderów-psycholi, natchnionych wariatów – każdy ze swoim pakietem przekonań i strumieniem newsów podbijających ich zaangażowanie i miłość? Wszyscy zbawieni przez patrzącego litościwie na ten spektakl Boga? I krzyżowcy zapamiętali w rzezi niewiernych, i heretycy mężnie przyjmujący płomienie stosu…

Jak psy Pawłowa, jak psy. No tak, niby lepszy żywy pies niż martwy lew… Z czego to? Tak tak, z Koheleta; to kolejna księga bez zakończenia. Bo i Księga Hioba się nie kończy. To, że coś tam dopisano dla ukojenia pragnących happy endu czytelników, nie znaczy nic.

Zostawiamy wiernego sługę Hioba, i zostawiamy lamentującego Eklezjastę. Nic się nie domyka. Czerń w sercu i czerń przed nami.

Podłączony pod internety, pod kroplówkę rzeczywistości, już nie reaguję. Poblokowały się przewody, rurki już nie przesyłają toksyny współczesności… Wyrywam więc wenflon łączący mnie ze światem! Niepotrzebny mi już.

Wkłuwali się, wkłuwali w żyłę na różne sposoby, mam sine ślady, krwiaki, ale już się nie cofnę, nie wrócę do zasilania fikcją.

Wyglądam z piątego piętra przez okno mojej kawalerki na ludzi drepczących na przystanek, wsączających się po schodach do metra i nie czuję nic.

Ktoś tam ćwiczy jogging, ktoś wyprowadza pieska.

Patrzę na nich z góry, jak krzątają się wokół swoich złudzeń. Ja – smutny facecik z przerzedzonymi włosami, w bloku z wielkiej płyty,

w mieszkaniu wyłożonym przez poprzednich właścicieli boazerią. Na szczęście zlikwidowano już zsypy na śmieci, więc na klatce schodowej już tak nie śmierdzi. Jest postęp. Idzie ku lepszemu.

Ale przecież z tym wszystkim czuję się wolny. Wolny i dziwnie spokojny. Myślę: walniesz mnie Boże jakimś nieszczęściem? Uderzysz we mnie? No to widzisz, potwierdzisz tylko bezsens tej gry. Że mnie dojedziesz nowotworem albo może wylewem.

I co, w ten sposób chcesz mnie skłonić do miłości? Nie, nie, nie! To będzie tylko lęk, tylko paniczny lęk.

Brzydziłbym się sobą, gdybym się tak dał złamać. Widzę oczyma wyobraźni siebie na szpitalnym łożu, jak zaśliniony, przerażony, w panice łapię za rękaw sutanny jakiegoś klechę i bełkoczę słowa modlitwy, przekonując siebie, że kocham, że kocham Ciebie i świat cały.

Więc nie, teraz buduję w sobie nieprzepuszczalny mur i cedzę przez zęby: nie ugnę się, to nie jest sposób na miłość.

Wsiadam do metra. Czuję swoje ciało niczym przestrzenny atlas anatomiczny, jakiś szkolny model z plastikowymi wyjmowalnymi narządami. O, nauczyłem się, pielęgnując odchodzącego ojca, gdzie usadowił się we mnie który organ. I przecież wiem, że w pewnym momencie coś nabrzmieje, napuchnie, zacznie uciskać, w ustach poczuję dziwny smak, w głowie szum. Dobrze.

Ale teraz wysyłam jeszcze w Niebo moje gniewne pytanie o sens tego wszystkiego.

Ha! Łudzę się, że Bóg słucha takiego robala jak ja i moje bezgłośne bełkoty wyprowadzają Go z równowagi… Ale niechby w Jego przepastnym mózgu, wyładowanym informacjami o każdym z nas, był jeden taki drażniący włosek, to wiem, że warto było.

Więc pamiętam: jest jakaś żydowska legenda o sprawiedliwych, którzy ratują świat swym istnieniem. A może – zapytuję siebie – jest też wariant przeciwny? O tym, że kilku niesprawiedliwych, a tak, ja czuję się niesprawiedliwy, nie mam złudzeń, nie dam się wpisać w krąg pobożnych gości, raczej nienawidzę świata, więc może i ja swym tchnieniem przyspieszam jego koniec?...

Ale na końcu chcę zadać pytanie. I z tym pytaniem trwam i trwać będę.

Spokojnie więc: nie rzucę się pod metro. Nie dołączę do tych, którzy raz na parę tygodni paraliżują życie miasta doprowadzając do „incydentu z udziałem pasażera"…

Odepchnąć ten świat jak stołek spod swoich nóg? O nie, nie! Niedoczekanie! Będę trwał.

Po co ta zabawa? Po co Ci te nasze życia? Ten bzdurny tor przeszkód, na który nas wprowadzasz? Widzę, jak trzymasz każdego z nas w swej potężnej dłoni, swoje chomiczki, niezgrabnie przebierające łapkami, oj, mocno trzymasz, mocno, możesz ścisnąć śmiertelnie… Uśmiechasz się? Tak, wyczuwasz bicie naszych przerażonych serduszek, i gdy labirynt jest już gotowy, delikatnie, ale z sadystyczną konsekwencją, wkładasz na jakąś platformę. Rozglądamy się, podnosimy pociesznie pyszczki i ruszamy w drogę, węsząc na wszystkie strony. No i jakie mamy szanse w tych korytarzach. Na lewo, na prawo? A może stanąć? Tylko wtedy czymś nas kujniesz w pupkę i ruszymy dalej. Po co Ci ta gra?

Zresztą, co tam. Pogodziłem się z tym, że to nie jest mój świat. Chodzę po mieście, obwieszonym reklamami, plakatami imprez, które mnie nic nie obchodzą, koncertami gwiazd, których zupełnie już nie kojarzę albo udających krzepę dziadków rockmanów z Zachodu, katujących swoje przeboje sprzed lat. Mijam mój ulubiony teatr obwieszony tęczowymi flagami. I traktuję to jak upiorną deko-

rację, szyderstwo ze mnie i z moich ideałów. Ideałów? Złudzeń raczej.

Mijają mnie stada dziwacznie ubranej młodzieży. Kolczyki, tatuaże, obnażone brzuchy, zsunięte portki, fryzury w dziwacznych kolorach. Zgoda na dewiację. Już się nie buntuję, spokojnie, spokojnie, jestem już obojętny.

No tak. A do tego coraz trudniej rozpoznaję twarze ludzi sprzed lat. Jeżdżę po mieście metrem, autobusami, robię zakupy – ktoś uśmiecha się do mnie, obdarzając tym grymasem znajomości, a w moim mózgu nie zachodzą właściwe reakcje. Coś mi się w głowie zepsuło. Nie działa jakaś matryca, która by uruchamiała mechanizm pamięci. No nie wiem, nie wiem, nie rozpoznaję. Może i znajomy, może i coś razem robiliśmy, do czegoś wspólnie dążyli, w coś wierzyli, ale w mojej głowie – pustka.

A zresztą, może to poboczna dolegliwość, łącząca się z moim zobojętnieniem na ten cały świat, który zostawiam, na ten świat, który zdaje mi się teraz beznadziejnym złudzeniem.

Chociaż to schorzenie działa wybiórczo. Nie jest tak, że wszystkie twarze uległy wymazaniu. Oto metro i Robert. Pewnie z pięć lat starszy, ale ubiera się jak zmarniały hipis. Na cebulkę: wyciągnięty T-shirt, na to kraciasta koszula, cienkie rzemyki na przegubach, koraliki. Chudy. Podchodzi do mnie, przytula serdecznie, okropne jest to przywieranie, nie lubię; mówi coś o najnowszej książce modnego pisarza. No tak, kiedyś to mnie fascynowało. Wyrzeka na autora, wykrzykuje, że się skończył, że zjada własny ogon. Strasznie się tym podnieca.

Jest niższy ode mnie, więc patrzy ku górze, wspina się na palce, służalczo oczekuje ode mnie aprobaty. A ja czuję od niego woń śmierci. Zapaszek lekarstw, moczu, niewietrzonego pokoju. Może ma ukryty w nogawce worek od cewnika, może stomię. Żywy pół-

trupek, jeszcze ruchliwy, jeszcze się udzielający, jeszcze pełen pasji. Tacy to znajomi przeciskają się przez szczeliny niepamięci. Tak, tego sobie przypominam dość dobrze. Co mam mu powiedzieć? Że ja już – nie, że ja już jestem po tamtej stronie, że nie chcę słuchać ani o książkach, ani też o kolejnych operacjach, którym będzie podlegać, by utrzymać się przy życiu?... Mam mu powiedzieć, że mi nie zależy, że to powszechny los, że w dupie mam jego cewniki, wszczepy, nowatorskie sposoby leczenia, świetne ścieżki terapii. Ja już nie, nie, nie! Jedyna satysfakcja, że go poznaję. Takie małe radości.

Ale zazwyczaj spotykam kogoś, gadam i do końca nie rozpoznaję. Small talki: co słychać, w porządku, a u ciebie, rozstaję się, a w mej pamięci nie zostaje jego twarz. Wszystko jest wykasowane. I jego przeszłość, i jego przyszłość. Jest on w mojej głowie punktem bez wymiaru. Zostawiam ten punkt i człowiek wymazuje się bez śladu.

Są też wpadki. Gość intensywnie gapi się na mnie, więc uśmiecham się, niby to rozpoznając go, a ten omija mnie wzrokiem. Najwyraźniej facet z wytrzeszczem. Taka zmyłka.

Ale niektóre twarze wrzynają się w pamięć aż nadto silnie. Mógłbym z najdrobniejszymi detalami opisać moją szefową w bibliotece, tego zadbanego blond potworka. Patrzę na nią, na jej drobny nosek i wąskie usta i ząbek, wystającą lekko górną dwójkę, i myślę sobie: miotaj się, miotaj, ciągnij te swoje podchody, mnie już nic nie możesz zrobić, mnie już nie możesz zranić, bo ja już się wyłączyłem.

Możesz mnie przywrócić do sali ogólnej, możesz nie przywracać. Naprawdę wszystko mi jedno. Mogę siedzieć do końca na zapleczu, zesłany tam przez ciebie za robienie min. Za robienie min. Że niby komentuję twarzą wybory czytelników. I że ich straszę.

Ale ja już zobojętniałem. Naprawdę nie będę już robił żadnych grymasów, nie będę wykrzywiał ust, bo moje oblicze jest martwe. Czuję że twarz moja jest kompletnie obwisła i żadne mięśnie już tam się nie poruszają.

Pamiętasz, jak parę lat temu wyrzucałaś mnie na zaplecze? O tak, na pewno bałaś się tej rozmowy. Pewnie przepowiadałaś ją sobie przed lustrem, bo jak to? – zasłużonego bibliotekarza, odznaczanego, fetowanego, z taką piękną opozycyjną kartą, faceta, który w stanie wojennym prowadził w publicznej wypożyczalni zakonspirowany kantorek z zakazanymi książkami, gościa, na którego jubileusz przybyli nie byle jacy politycy, a minister podzielił się wspomnieniem, jak to dzięki tej tajnej bibliotece przeczytał Orwella i Sołżenicyna, więc jak to, gościa z takimi zasługami wyrzucać do zakurzonych magazynów i odcinać od czytelników?

Bałaś się tej rozmowy: facet jak ja ma koneksje, których może użyć, by ciebie usunąć ze stanowiska, ale gdy już wystartowałaś ze swoim atakiem, to zaczęłaś się nieźle nakręcać! Że masz już dość tych fochów i min, tych bezgłośnych komentarzy, że pracownik biblioteki nie jest od kwestionowania decyzji czytelników, że jak ktoś chce czytać złe książki, to ma do tego pełne prawo i nie do nas należy recenzowanie tego. Ciągnęłaś tę swoją przemowę, powtarzając komunały, którymi nas karmiłaś co dnia – ważny i bezcenny jest sam akt lektury i każdy, dosłownie każdy, powinniśmy wspierać. A gdy wyraziłem zdziwienie, próbowałem bagatelizować zarzuty, uśmiechałem się – nie lubię, nie lubię u siebie tego uśmieszku zakłopotania i przymilności – wpadłaś w prawdziwą furię. Żebym nie zaprzeczał, bo nawet kamery monitoringu, choć przecież nie najlepszej rozdzielczości, rejestrują te moje grymasy, to wykrzywianie twarzy. Że jak chcę, to możemy pójść razem do jej monitora i sobie obejrzeć, jaką pantomimę odstawiam. I sama zaczęłaś wykrzywiać swą twarz i przedrzeźniać mnie. Oj, kobieto.

– I jeszcze małpujesz! – krzyczy ona.

– Co? – Naprawdę dziwię się.

– A to twoje „do widzenia”? Myślisz, że nie słyszę?! My staramy się miło pożegnać czytelnika, życząc mu miłej lektury, a ty nawet to musisz zmałpować.

Aha, no tak, trafiła. Strasznie mnie wkurzało to narzucone przez nią śpiewne „do widzenia”. Wszyscy to podchwycili.

„Dowi” – dwie sylaby równo, potem oktawa w górę – „dze” i tercja w dół „nia”. Do wi-dze-nia.

Melodyjna obietnica rozkoszy z książką. No to: do widzenia!

Zesłany na zaplecze za robienie min i małpowanie!

To i siedziałem w magazynie, zasłonięty regałami i mozolnie wpisywałem dane do komputera, naklejałem kody kreskowe, robiłem metryczki. Głównie dary dla naszej biblioteki, książki pozostałe po jakichś nieboszczykach i usłużnie dostarczone przez ich rodziny opróżniające zagracone mieszkania. Nie było najgorzej. Młodzi pracownicy kłaniali mi się, a na ich twarzach mieszał się szacunek z politowaniem.

Zostałem oszukany przez czas, ale przecież i dyrektorka, „pani kerownik”, obrończyni aktu czytelniczego, ciesząca się, że ludzie w ogóle czytają książki, też w końcu została pokonana przez internet. No tak, tylko jak sobie powtarzasz w myślach, kobieto: tu jeszcze jest sporo kasy do przepalenia. A poza tym zarządzanie kulturą to niezła ścieżka kariery.

Wszyscy w tej naszej bibliotece jesteśmy jak w dziurawej szalupie, bez nadziei na ratunek. Tylko że mnie już nie zależy. Tylko że ja uzyskałem już wolność.

Siedzę, wklejam te kody w książki z darowizn i zakupów, jakoś mi to idzie i sam dziwię się mojemu dawnemu zaangażowaniu. Gdy

pamiętałem, kto co pożyczył, gdy towarzyszyłem młodym w czytelniczych fascynacjach, podsuwałem kolejne lektury, opatrując je parozdaniowym komentarzem. Syciłem się, gdy natrafiłem na wrażliwą duszę, pożeracza książek, który akt lektury traktował jako doświadczenie egzystencjalne, a we mnie widział szafarza wielkich tajemnic skrytych na zadrukowanych kartach. Patrzyli na mnie z podziwem, dziękując za rekomendacje, wymieniali parę zdań, lejąc miód na moje serce.

A teraz? Głupie kozy wyciągają ręce po produkty sezonowych gwiazdek lansowanych przez salon, wchłaniają rzeczy dewastujące resztki ich kulturowej tożsamości…

Tylko, że ja już się nie irytuję. Niech sobie płyną w nicość, zasilane głupstwem współczesności. Niech się radują tym, że przeczytały rekordową liczbę książek i są zawsze na bieżąco. A młodzi niech biorą te produkty „young adult" i trawią bez wysiłku tę papkę sycącą najniższe gusta.

Jest mi to obojętne. Przestałem dbać… O ich zbawienie? O ich wielkość.

Za czasów stanu wojennego każda podsunięta przeze mnie książka z sekretnego kantorka była jak wyjęcie jednej cegły z muru niewoli. Tak powiedział minister na moim jubileuszu. Wierzyłem w to lata temu, nakręcałem się mocno. Zresztą, to naprawdę było ryzyko. Komu zaufać, komu nie.

A wkrótce po obchodach i nagrodzie jubileuszowej, ministra oskarżono o grubą korupcję, więc ze swoimi pięknymi słowami odszedł gdzieś w niebyt. A raczej do celi. Na krótko. Nawet widziałem migawki z jego zatrzymania. Niezły cyrk odstawili, wykręcone ręce, kajdanki, koszula z tego wszystkiego mu wyszła ze spodni i pokazała blady okrągły brzuch…

* * *

Rudzinka, co przyszła do pracy całkiem niedawno, pewnego popołudnia, gdy wyszedłem z zaplecza, zwróciła się nagle do mnie. Zdrabniając moje imię! Marcinku!

Wszyscy jesteśmy tu po imieniu, ale żeby zdrabniać?

– Marcinku, a nie myślałeś, żeby jednak skorzystać z jakichś tabletek? – powiedziała trochę zawstydzona.

– Nie dzięki, to nic nie da – odpowiedziałem bez udawanego zdziwienia, że o co chodzi, że skąd w ogóle takie rady. No jest ze mną coś nie tak. Wszyscy to widzą, nie ma co się wypierać.

– Ależ da, to działa, naprawdę.

Już czułem, że zaraz zacznie opowiadać o znajomych, którzy też nie wierzyli w farmakologię, już zacznie przytaczać przykłady cudownych uzdrowień, reklamować to niczym generowany przez sztuczną inteligencję osobnik. „Przed" i „po"…

– Nie chcę, nie chcę, nie chcę – mówię trochę za głośno i nieco histerycznie, i widzę przestrach w jej oczach.

Prawie odskakuje ode mnie Rudzinka troskliwa, patrzy z lękiem, no pewnie: jawię się jej jako wariat. Niech tak będzie.

Chciała dobrze. Tylko ja nie chcę takiego dobrze!...

I tak skończyła się ta nasza krótka wymiana.

Miałbym się poddać farmakologicznej terapii?! A świat, co ze światem?! Czy te tabletki zmienią świat? Zdeformują tylko jego obraz. Stanę w jednym szeregu durnie uśmiechniętych kolesi, którzy po prostu byczo się czują.

Mam łyknąć pigułkę szczęścia?! Dziękuję bardzo. Słuchałem ostatnio w sieci wyznań księży, co to bohatersko wyszli z depresji czy

innych psychicznych i duchowych dołów. Poddali się terapii i teraz, ciągnąc na prochach, głoszą pochwałę żywota. Taki byłby sposób na teodyceę? Faszerować się lekami i opowiadać dyrdymały o tym, jak wspaniały jest świat? Dziękuję bardzo.

To może jednak niech swoje kazania i mądrości opatrują – jak Witkacy swoje obrazy – informacją, na jakich są pigułkach. Nie żądam zbyt wiele, ot, skrótu odnoszącego się do leku, jaki sobie aplikują. Albo imienia parafianki, z której oczu czerpią nadzieję i satysfakcję.

Po co ci kapłani dodają do tego religię? Zamiast tych gadek o dobrotliwym Bogu i wspaniałym dziele stworzenia, podajcie nazwę medykamentu. My do tego filozofię i religię już sobie dobierzemy sami. I wyśpiewamy pochwalny hymn, mogący rywalizować ze wszystkimi psalmami i ze wszystkimi pieśniami świętego Franciszka! A i o nocce ciemnej świętego Jana od Krzyża będziemy mogli mówić uczenie i z dystansem.

Fajnie: będę przyjmował leki – świat się nie odmieni, tylko przemianie ulegnie moje spojrzenie i z bydlęcym zachwytem, stymulowany chemią, będę przeżywał rzeczywistość.

Nie ze mną ta gra.

Nie chcę opierać wszystkiego na chemii w organizmie.

Chociaż… może ci wszyscy optymiści, może ci głosiciele Dobrej Nowiny mieli po prostu dobry chemiczny balans w sobie…

Wielkie debaty to po prostu spór chemicznych reakcji, jakie zachodzą w naszych ciałach. To ja tak nie chcę. Będę tu stał jako znak sprzeciwu.

Ksiundz mądrala, na lekach, a jakże, że jemu teraz wystarczy siąść na ławeczce z filiżanką dobrej kawy, patrzeć ze skarpy na rzekę, smakować urodę życia i chwalić Boga.

Ale jak to, klecho? Wymazałeś już prawdę o świecie, który ujrzałeś, gdy ogarnęła cię ciemność? Za nic masz wierność tamtemu sobie? Chcesz to po prostu wykasować?

Można i tak, księże dobrodzieju! Tylko nie zapomnij wziąć swoich tabletek co rano.

A ja się po prostu na to nie godzę!

* * *

A Gruzinka? No to kilkanaście lat temu!

Ostatnia miłość? Raczej ostatnia porażka. Kolejna, ale faktycznie ostatnia.

Zjawiła się pewnego wiosennego dnia czarnulka, szczuplutka i wąziutka, jakby z obrazu geometryzującego ciało, drobiąc kroczki niczym gejsza w ciasnym kimono. Ale chodziła tak nawet w spodniach: miała szare z kancikiem, budzące lekką litość, ubożuchne.

Gruzinka, tak ją sobie nazwałem w myślach i choć szybko poznałem jej personalia, ta nazwa pozostała.

Gdy pierwszy raz spotkały się nasze oczy to coś we mnie eksplodowało! To było niesamowite. Jakby wzrok i mój, i jej, został złapany w pułapkę i w żaden sposób nie byliśmy w stanie spuścić oczu. Jakby więził nas jakiś magnes.

Brzmi to kiczowato, ale było właśnie tak! Chciała tak jak ja tylko zerknąć i spuścić oczy, a jednak coś kazało jej przytrzymać wzrok. I oczy nasze, zetknąwszy się, uwięzione zostały we wzajemnej fascynacji. Tak! To nie było złudzenie! I ona, i ja. Jak zahipnotyzowani.

To trwało kilka sekund, kilka długich znaczących sekund. Czyż nie było to najmocniejsze przeżycie ostatnich lat? Na pewno.

Patrzyłem jak zaczarowany, a między nami przepływa niezwykła energia. Więc to ma być mój port, do którego dobiję po tylu latach

samotnej żeglugi? Mój skarb, moja nagroda?...

Wreszcie wykrztusiłem słowa powitania, nieśmiało taksując jej twarz: drobniutkie dziwnie brązowawe piegi na szczupłym nosku i jakby zarys wąsika tuż nad górną wargą. Znów spotkały się nasze oczy, ale ona tym razem szybko spuściła wzrok prezentując czarne gęste rzęsy.

Jej niebieski sweterek i szare spodnie…

Nie! To nie zmyślenie. Cokolwiek się potem wydarzyło, nie zetrze tego wrażenia, tej pewności, że coś zaiskrzyło.

Nasze krótkie spotkania. Odnosiła książkę, wypożyczała następną, starałem się w dzień dobry i do widzenia oraz miłej lektury wkładać jak najwięcej serca… i szykowałem się do jakiejś rozmowy. Nie, nie było już kolejnego magnetycznego spotkania naszych oczu, szybko spuszczała swoje jakby bojąc się miłości, która zrodziła się między nami.

Stulona, skulona, jakby osłaniająca się od świata.

Ale wiedziałem, że jest mi przeznaczona. Czułem, że to może być wreszcie nagroda za te wszystkie lata w bibliotecznym kurzu, za tę służbę w świątyni Słowa.

Czytała szybko i namiętnie literaturę francuską: Stendhala, Balzaca, wreszcie i „Niebezpieczne związki". No tak – literatura z pieprzykiem.

Pewnego dnia, odniosła książkę i odwróciła się, jakby chciała wyjść.

– Niczego nie pożyczamy?

– Nie, dzięki – uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Na razie zrobię sobie przerwę.

– A może już pora na „W poszukiwaniu straconego czasu"?

– Nie, dziękuję. Do widzenia.

I wyszła.

Niewiele myśląc, podbiegłem do regału. Gdzie jest ten cholerny Proust?! O, jest. Wziąłem pierwszy tom oprawny w delikatną jasnobrązową skórkę.

Wybiegłem. Wiedziałem przecież z karty bibliotecznej, gdzie mieszka, skrótem przez podwórka powinienem zdążyć i przeciąć jej drogę. Zamknięta furtka z pionowych szarych prętów, ale jest dziura w siatce, przeciskam się i przez opustoszały o tej porze parking wyłożony sześciokątnymi płytami biegnę ku ulicy. Proust wysuwa mi się spod pachy, w ostatniej chwili chwytam go w dłoń i mocno ściskając, biegnę.

Właśnie dochodziła do rogu. Widziałem, jak szła ze sztywnymi wyprostowanymi plecami, tym swoim intrygującym krokiem, drobiąc nogami. Przyspieszyłem.

Wreszcie ją dopędziłem.

Zasapany.

Zdziwiona odwróciła się. Spojrzała na mnie z lękiem.

– Może jednak? Może jednak weźmiesz Prousta?

– Nie – powiedziała cicho spuszczając wzrok.

Zdobyłem się na odwagę. Wiedziałem: teraz albo nigdy. Pamiętam, jak rwali dziewczyny moi kumple na studiach. Tu trzeba stanowczo. Trudno.

– To odprowadzę cię do domu, bo już późno.

– Nie dziękuję – odrzekła cicho, błagalnie jakoś. Przyspieszyła.

– Pójdę z tobą. Na wszelki wypadek.

Szła, a ja kilka kroków za nią. W jej rytmie, prawie noga w nogę.

Odwróciła się zaniepokojona, przestraszona.

– Nie, proszę, chcę sama.

– To ja tylko będę szedł – powiedziałem.

– Nie chcę, naprawdę – jakby zwierzała się.

– Odprowadzę cię – powiedziałem twardo.

I tak szliśmy w odległości paru metrów. Ulica była pusta, jesień, zmrok. Ona raz po raz odwracała nieznacznie głowę, by sprawdzić, czy już sobie poszedłem, ale przecież musiała słyszeć moje kroki za sobą.

Podeszliśmy pod jej blok. Stanęła i odwróciła się. Miała oczy pełne łez.

– Idź sobie. Idź!

Zobaczyłem jej zaszklone oczy. Wyglądała pięknie w tym smutku połączonym z przestrachem.

Och, jak chciałem ją przytulić, pocieszyć, ochronić przed napastnikiem. Tylko, że tym napastnikiem byłem ja sam!

– Idź sobie – powtórzyła. Jak do namolnego psa. Ujadającego kundla. – Idź.

– Przepraszam, bardzo przepraszam – wystękałem, a ona wybuchnęła głośnym płaczem i pobiegła do klatki schodowej.

Stałem pod jej blokiem z tomem Prousta pod pachą.

A gdzieś tam windą jechała moja egzotyczna roślinka, kwiatek niewykluty, drobinka wstrząsana spazmem.

Nie muszę chyba dodawać, że nigdy już nie przyszła do naszej biblioteki.

* * *

Metro. Facet z kitką i zaczesanym do tyłu mocnym włosem ładuje się z rowerem. Wieczór, już po komunikacyjnym szczycie, więc ma na to miejsce. Sprawny, męski. Klinuje sprytnie swój pojazd, zapiera o siedzenie, rozgląda się. Patrzy na mnie i uśmiecha się. Siada. Twarz za blisko. Znamy się? Być może, coś mi tam świta. Może i tak.

– No czeeść – wita się jakoś radośnie, przeciągając głoskę. – Co u ciebie?

Nie wiem, skąd znam gościa, ale być może coś tam było, więc odpowiadam:

– No wiesz, pomalutku. – W takich gadkach jestem dobry, chociaż zawsze się spinam. Jak zada bardziej szczegółowe pytanie, dostarczy mi tym samym trochę informacji o sobie. On przełyka ślinę, wielka grdyka na mocnej szyi wznosi się i opada, facet we flanelowej koszuli, mocny, umięśniony, ręce ma uwalane smarem, pewnie od roweru.

– Nie masz pojęcia – mówi – jak bardzo się cieszę, że cię widzę… Jakoś się urwał kontakt.

Intensywnie słucham, przeczesuję pamięć, ale nie za bardzo jeszcze wiem.

A ten, zamyślony niby, zatroskany:

– Już dawno chciałem cię odnaleźć, żeby podziękować. Zachodziłem nawet parę razy do biblioteki.

Aha, a więc jednak nie myli mnie z kimś innym.

– No tak, ja teraz pracuję na zapleczu.

A on ciągnie:

– To dzięki tobie zdecydowaliśmy się – zawiesza głos, jakiś teatr odstawia – zachować nasze dziecko…

Dziecko? Jakie dziecko?!

– Stare dzieje – mówię, ale nie jestem w stanie sobie przypomnieć tego gościa. Pewnie coś tam mogło być za czasów mojego wzmożenia, gdy jeszcze czułem się bibliotecznym kapłanem. Tak, na pewno tak.

Patrzy na mnie z miłością, cały rozpromieniony. Coś mi zaczyna świtać. Chyba Krzysztof i jakieś krótkie nazwisko. Teraz sobie przypominam. Tak. Miał ambicje literackie czy dziennikarskie i zdaje się nawet coś publikował w dzielnicowych darmowych gazetkach.

– I wiesz – ciągnie – przekonało mnie, jak powiedziałeś, że w ten sposób stracę nie tylko dziecko, ale i moją kobietę. I że to będzie

koniec naszego związku.

– Oj, jacy my młodzi byliśmy – ciągnie – ty niby starszy, ale przecież to wszystko było takie młodzieńcze, jaki byłeś zapalczywy, jak płonęły ci oczy… prawdziwy apostoł! To było piękne. I ty mnożący argumenty, nagle mówisz: nie wierzysz, to zobacz sobie Bergmana. On wie, jak miłość jest dewastowana przez aborcję. Tak kulturalnie chciałeś mnie przekonać..! Zaraz to było… no tak, szesnaście lat. Przecież Marcin – tak, tak, nazwaliśmy go trochę na twoją cześć – Marcin ma szesnaście lat.

Gada i gada:

– I wiesz, odstawiłem wódę, jestem we wspólnocie. Pomyśl, to dzięki tobie. Tak tak, naprawdę. Super, że cię spotkałem… Wysiadasz tu? Świetnie, ja też.

Mruga do mnie, zupełnie jakoś nie à propos.

– Chodź, poznasz Marcina. – I dodaje w konfidencji – Jedzie osobno. Ćwiczy się w samodzielności.

Wychodzimy na peron. Z sąsiedniego wagonu gramoli się z rowerem mały człowieczek w okrągłych okularach o soczewkach jak słoiki. Rozgląda się niepewnie. Down! Wygląda jak zagubione dziecko, a ma przecież kilkanaście lat. Zagubiony zerka i nagle na jego twarzy pojawia się uśmiech. „Tatuś!" – mówi i podchodzi do nas prowadząc dziwnie przeskalowany rower.

Tatuś! Nagle wszystko we mnie pęka. Coś ściska mi skronie, a kręgosłup usztywnia się, choć ciało mi wiotczeje i słabnie. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Fale żalu, rozpaczy, a jednocześnie jakiegoś wzruszenia, tkliwości. Szloch więźnie we mnie, nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Płytko oddycham, duszę się. Na miękkich nogach podchodzę do chłopca. Chcę wyć i jednocześnie uciec stąd, schronić się, zamknąć gdzieś, zwinąć w kłębek.

Krzysztof chce coś powiedzieć, przedstawić mnie, uśmiecha się, zakłopotany nieco, chociaż przecież od lat radzi sobie z publicznym występowaniem z upośledzonym synkiem.

Podchodzę do dzieciaka, przytulam mocno, bardzo mocno. Głowę ma na wysokości mojej piersi, czuję, że początkowo zdumiony, sztywny, wtula się we mnie. Ale i ja chciałbym się przytulić, schronić.

Boże, Boże, co ja narobiłem, mój ty biedaku. Obejmuję go jeszcze mocniej.

Jego rower upada na posadzkę, dźwięczy dzwonek. On stara się uwolnić z uścisku, a ja – płaczę. Wreszcie się wydobył ze mnie szloch.

Odwracam głowę do Krzysztofa, chcę coś powiedzieć, wytłumaczyć się, ale kolejne fale nadchodzą, więc mocniej jeszcze obejmuję nieszczęśnika. Cały jestem we łzach i katarze. Leje mi się z oczu i nosa. Dzieciak teraz już wyrywa się.

– Hej, wszystko dobrze? – słyszę jakby z oddali. Krzysztof kładzie mi rękę na ramieniu i delikatnie odciąga od syna. Trzyma mnie mocno za ramię. Ja w łzach, zasmarkany daję się zaprowadzić na ławkę na peronie.

– Już dobrze, dobrze – siadam zawstydzony. – Przepraszam. Muszę się ogarnąć. Dam radę. Idźcie już.

Ale nadchodzi kolejna fala szlochu. Próbuję zaciskać zęby, ale to jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Prycham, dziwny skowyt dobywa się z moich ust.

Patrzę na mocną sylwetkę oddalającego się Krzysztofa z upośledzonym synem. A więc on dał radę. Christophoros. Niosący Chrystusa. Małe Dzieciątko, które okazało się wielkim ciężarem. Uniósł, uniósł! A ja?...

Jezu, Jezu – powtarzam sobie. – Co ja zrobiłem. Jezu, to Ty? To w tym Downie jesteś? W tym Downie mi się objawiasz?...

Jezu, mój zbłąkany Jezu, mój wyniszczony Panie, mój oszukany Boże, zmiłuj się nade mną, zbłąkanym. Widzę ciało Chrystusa w jakiejś przebitce z krzyżowania. I do Niego się zwracam.

– Tatuś… – słyszę z oddali niewyraźny głos, na granicy bełkotu. – Tatuś, co ten pan…?

Znowu ten „tatuś". Rozwala mnie to.

To Jezus – mówię sobie zupełnie bez sensu. To Jezus. To mój syn umiłowany. Plącze mi się w głowie, kompletnie nie pojmuję, co się dzieje ze mną.

Siedzę. Twarda ławka. Krzysztof oddala się z synem. Prowadzą rowery, oglądają się jeszcze za siebie.

Podjeżdżają kolejne składy metra. Ludzie wsiadają, wysiadają. Komunikaty napełniają przestrzeń. Przede mną rozświetla się i gaśnie reklama jakiejś miejskiej imprezy plenerowej. Pożegnanie lata.

Jezu Chryste, co ja mam z tym wszystkim zrobić?

Jezu, patronie błądzących, sam wprowadzony w potworny błąd. Czułeś moc Syna Bożego, namaszczonego Mesjasza, dumnie głosiłeś Królestwo, a na koniec wyłeś do Boga z pretensją, że Cię opuścił!

„Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?!". Prawda? A tak dobrze szło. Prowadziłeś uczniów zafascynowanych Twoimi cudami i łagodnym spojrzeniem, a nie wiedziałeś, że jest to droga ku tak potwornemu cierpieniu. Załatwiałeś faryzeuszów erystycznymi sztuczkami – z monetą Cezara, z pisaniem na piachu, z biblijnymi cytatami, odpowiadając pytaniem na pytanie. Budziłeś entuzjazm apostołów. Miałeś gadane!

Upajałeś się słusznością swych sądów, radowałeś, gdy Pan potwierdzał Twą misję cudami, czułeś energię, która pozwalała Ci

uzdrawiać, a z błąkających się strzępów myśli kleciłeś niezrozumiałe także dla Ciebie proroctwa…

I teraz co? Jest tylko ból i przerażenie, że zaraz spadną na Ciebie następne ciosy. Jak się zasłonić, jak przetrwać te potworne męki. A rzymscy żołnierze czynią swoja powinność. Oto wydano w ich ręce przestępcę, którego trzeba udręczyć, to i umęczon zostanie.

O, nie, tak łatwo się nie rozrzewnię, nie!

Jezu, patronie oszukanych? Największy z oszukanych?

Ale przecież zwodzący nas, jeszcze za swego życia. Co to były za cyrki ze wskrzeszeniem Łazarza? Te łzy na pokaz? Gadasz z Martą, która wybiegła Ci naprzeciw, i ona, na Twoje teksty o życiu wiecznym, że tak, tak, wszystko fajnie, ale to takie obiecanki-cacanki, a brat mój nie żyje i możesz go wskrzesić, zamiast nas karmić bajkami o przyszłych sprawach. Wierzę, wierzę – mówi Marta – znam te wszystkie Twoje bla bla bla, ale mój brat nie żyje i ja nie proszę Cię o opowiastki o Królestwie, ale o konkret: przywróć mi brata.

No i Marta, najrozsądniejsza z rodzeństwa, woła siostrę Marię, co to robiła maślane oczy do Jezusa i On odwzajemniał te spojrzenia, i nazwał to najlepszą cząstką. Oj, w końcu jest też mężczyzną. Więc woła Marię, niech użyje swoich wdzięków. I co Ty na to, Jezu? Płaczesz?

Ale, zaraz – co, czyli jednak śmierć nie jest przejściem do lepszego życia? Co za teatr odstawiasz? Że co, swojego kumpla uratujesz, bo nie wiadomo, co z Twoimi wizjami życia po śmierci? Niby masz skruszyć śmierci wrota, ale na wszelki wypadek…

I jakieś dziwne teksty wypowiadasz: „Ojcze, wiedziałem, że mnie zawsze wysłuchujesz, ale ze względu na ludzi to powiedziałem, aby uwierzyli, że mnie posłałeś". Zaraz! Co to za przedstawienie?! Co Ty w ogóle mówisz? Co tu jest prawdą, a co maskaradą?

No i te sceny z Marią, siostrą Łazarza. Znam te sprawki. „Wybrała najlepszą cząstkę”?

Ci wszyscy święci przewodnicy, zasilający się erotyczną energią. Bo świat jest światem. I facet to zawsze facet. I nasz Karolek Wojtyła otoczony rozmiłowanymi kobietami, które wymieniają z nim spojrzenia typu: och, gdybyś zrzucił sukienkę księżowską, razem bylibyśmy szczęśliwi. Nie przecinał tych relacji, pozostawiał je na poziomie drżenia i niedopowiedzeń… Upajał się ich miłością, swą przystojnością i przewagą nad ich mężami. Te cwane gadki i listy o miłości, mieszające eros z agape, a jak! Każdy facet to wyczuwa. Nasyciłeś się, Karol, niech ci to wystarczy! Przejrzałem cię!...

Wychodzę ze stacji metra, wysokie męczące schody. Okolica znajoma przecież. Zmierzcha.

Mąci mi się w głowie, idę do zawalonego teraz kartonami mieszkania po Ojcu podlać kwiatki, przemierzam trasę tak dobrze mi znaną z dzieciństwa, gdzie teraz wszystko już inne, karykaturalnie obce.

W miejsce poczty serwis komputerów i kebabiarnia. Obok pizzeria. Zamiast apteki na zaokrąglonym rogu – sieciowa kawiarnia pełna studenterii.

Zamiast krzywych płyt chodnikowych niebezpiecznie klekoczących po deszczu – brukowe prostokątne kostki, ale też jakoś nierówne to.

Nie spotkam już listonosza z kopiowym ołówkiem, który ślinił, by podpisać odbiór paczki.

Nie natknę na babę, co sprzedawała po domach cielęcinę. Nie napotkam dziecięcego wózka wiozącego tobołek z magla.

Całe życie za mną.

Idę udręczony, z głową kompletnie zmąconą.

O, Jezu. Torturują Cię, miażdżą cierpieniem jak robala, pokazują, że Twój Bóg, Twój Ojciec Cię porzucił, że oni mają władzę. I wypowiadasz te słowa! Wreszcie wypowiadasz! „Czemuś mnie opuścił?".

Prawda? Wydawało Ci się, że gdy pełnisz wolę Ojca, gdy czynisz cuda i nauczasz, Pan będzie z Tobą i da Ci siłę, by to wszystko przetrzymać. A jednak… Jeszcze w trakcie drogi na Golgotę wypowiadasz teksty typu „płaczcie nad sobą", jeszcze powracasz do dawnego siebie – przemądrzalca panującego nad tym wszystkim, zwycięsko wychodzącego z potyczek słownych z przeciwnikami, imponującego apostołom zręcznymi ripostami, wiedzącemu więcej. Ale potem jesteś już absolutnie sam, rozdzierany potwornym cierpieniem. Fragmenty przepowiedni, które cisnęły Ci się na usta i których do końca nie pojmowałeś swoim człowieczym rozumem, jak iskra przechodzą przez Twój mózg, to proroctwo Jana Chrzciciela, które traktowałeś jak komplement, że Baranek Boży, a okazało się, że tak, jesteś zwierzęciem ofiarnym, które ma być zarżnięte w ofierze dla pragnącego krwi, nienasyconego Boga.

Cały jesteś więc bólem i paniką, kulisz się, nie wiedząc, gdzie dosięgnie Cię kolejny cios, o, żołdacy potrafią zadawać cierpienie, a dla nich jesteś zbrodniarzem, który osądzony wobec prawa musi ponieść karę, wykonują swoją robotę, a ich zadaniem nie jest bezbolesne wysłanie Ciebie na inny świat, o nie, nie po to wymyślono krzyż i kaźń, by skracać cierpienie. Więc – dodają Ci bólu, stosują okrutne procedury i wydobywają wreszcie z ciebie zwierzęce wycie. To jest ich zadanie, to jest ich profesjonalizm. Kolejny zbrodniarz ponosi przykładną karę. Good job!

I co? Wrobił Cię Twój Abba-tatuś?! Nie na to się umawiałeś, prawda? Z chmurki raz po raz się odzywał, dał Ci doświadczać uniesień i wzmożeń, a tu taka niespodzianka. Miał zstąpić z obłoków i ocalić swego sługę, czyż tego nie byleś pewien w potyczce z

dyjabłem, gdy doskonaliłeś się na pustyni? A teraz jesteś ludzkim ścierwem, skrwawionym mięsem, samym wyciem. I co? Wygrałeś ze światem? Pokazałeś, że cierpienie uszlachetnia, że ma sens? Wolne żarty! Mateusz Lewita nie kłamie. Wyłeś z rozpaczy.

Dopiszą Ci potem ewangeliści spokojne słowa z krzyża: „oto syn twój, oto matka twoja", dodadzą epizod z dobrym łotrem, ale przecież nie zagadają tego, że nawet Ty nie podołałeś! Nie udźwignąłeś! Nawet Ty nie byłeś w stanie zaserwować nam tego kłamstwa!

Zabijana owieczka machająca mechanicznie nóżkami w agonii. Elektryczność przechodząca ostatni raz przez Twoje kończyny. To już tylko impulsy. I nie ma nic! Poza tym – nie ma nic!

Eleganciki teologowie będą odsyłać nas do Psalmu, że niby modlisz się Psalmem, który ma też część chwalebną. O nie, w takie bajeczki nie uwierzymy! Skowyczesz z rozpaczy. Opuszczony i oszukany: „Czemuś?!" Zapowiadałeś, Ojcze, coś zupełnie innego.

O Jezu, natchniony wypowiadałeś słowa, których do końca nie pojmowałeś. Byłeś medium. Medium kłamliwych proroctw. Krzyż jest lekki, a jarzmo słodkie?! O nie, mam nadzieję, że łączysz się w swym skamleniu z ludźmi, którzy potem Ci zaufali, którzy w imię Twoje chcieli działać, którzy z imieniem Twoim czynili rzeczy, które później okazały się kłamstwem.

O, Jezu, oszukany przez Ojca, zrób coś z tym! Zrób coś ze mną! Jestem z Tobą w Twojej agonii.

Bo i mnie miałeś w swoich szeregach. Chciałem Ci się przypodobać? Być Twoim rycerzem? Walczyć w Twe imię? To walczyłem.

Panie Jezu, patronie przegrywów, jeśli jesteś tym, kim myślę, największym przegrywem w historii ludzkości, któremu wydawało się,

że jest królem świata, to może się i nade mną zlitujesz?...

Siadłem na tarasie parterowego mieszkania ojca. Stare budownictwo, sporo warte.

Trzeba coś będzie zrobić z ogródkiem, bo zarósł mocno.

Wiklinowy stareńki fotel lekko trzeszczał, ale jakoś się trzymał. Z salonu przyniosłem sobie lekko nadpitą butelkę martella – zupełnie nietrafiony prezent siostry dla umierającego ojca – i nalewając po kapce do szklanki popijałem w ten wczesnojesienny wieczór. Oj, żeby się uspokoić już, oddychać.

Co ja z tym wszystkim zrobię, Jezu?...

Tępo gapiłem się na żywopłot zamykający ogródek. Czułem jak koniak zgłusza mnie powoli.

No tak, a potem stanie się, co się ma stać. I nadejdzie noc zmartwychwstania. I Twoje zbite, nędzne ciało przeniknie przez całuny i uniesie się w zatęchłym grobie.

Śmiech Szatana, towarzyszącego Twej męce i naszym klęskom, zmieni się nagle w uniżony nerwowy chichot. Prawda, jaka sztuczka, kakoj triuk. Nie spodziewałeś się, Satanasie!

I my wszyscy, wznoszący wraz z Chrystusem okrzyk „czemuś mnie opuścił", oszukani przez świat, doznamy przemiany.

Ale tu na ziemi nic się nie domknie, nic nie zyska sensu, nie złoży w kompletną opowieść, o nie!

Jezu, wielki przegrywie, patronie przegrywów, już niedługo wejdę w niewiadomą otchłań. Naszprycowany środkami przeciwbólowymi, zdemenciały, bredzący coś od rzeczy, przeklinający świat.

Jezu, przyjmij mnie tam. I opatrz mnie, strudzonego, pełnego goryczy.

Poruszyłem ze zdumieniem moją coraz silniej bolącą głową. Jakbym się ocknął. Coś mi pulsowało w skroniach. Oczy wciąż swędziały.

Nalałem do szklanki ostatnią porcję koniaku.

Westchnąłem, zmęczony tą grą wyobraźni. Plącze, plącze mi się w głowie. Telepie. Myśl goni myśl, za szybko to wszystko się miesza, jakbym patrzył przez rozedrgany dziecięcy teleskop ze szkiełkami układającymi się w coraz to nowe wzory.

Oddychaj, oddychaj.

Gapiłem się tępo na trawnik i krzaki. I załzawionymi oczyma ujrzałem nagle dwa strumienie światła – czerwony i biały, jak przenikają przez liście żywopłotu zamykającego ogródek. Wyprostowałem się.

To nie mogło być złudzenie. Rozdzielały się jak na obrazie Miłosiernego! Liście opalizowały blaskiem, a promienie łagodnie wsączały się do ogrodu. Jakby płynęły do mnie.

Panie, a więc ukojenie jest możliwe?

Poczułem ogarniające mnie fale miłości, objęty poświatą, cały topniałem, czułem, jak moje serce zaczyna obudowywać się ciałem. Prawie fizycznie doświadczałem tego: to było jakby garncarz okalał drewniany szkielet lepką tłustą gliną.

A więc zlewasz zdroje łaski na moje zbolałe serce i je odbudowujesz.

Czyli taki jest koniec mej drogi. Dzięki Ci, Panie.

Cały ogródek ojca zalewała biało-czerwona poświata. Łagodny wieczór i promienie obejmujące mnie subtelną falą miłości.

Pojednany z ojcem, pojednany ze światem…

Patrzyłem wzruszony na nędzny trawniczek spowity cudownym blaskiem, który wycinał go z ciemności. Wyodrębniał. Oświetlona

przestrzeń została wyjęta z kosmosu i naprawdę byłem tylko ja i te płynące do mnie promienie.

Jezus jest odpowiedzią. Tak! Jezu!

Usłyszałem cichy wizgot elektrycznego samochodu i wizja urwała się. To tylne światła jakiegoś leniwie cofającego się chińczyka zmyliły mnie i wprawiły w stan religijnej ekstazy.

Żałosne.

Nerwy, nerwy.

Srożę się, że odrzucam wiarę, odrzucam nadzieję, odrzucam miłość, a wystarczy jedno złudzenie i już cały się rozpływam w jakiejś religijnej melasie.

Roześmiałem się. Pierwszy raz od wielu, wielu lat. Czułem, jak rozpogadza się moja twarz. Nareszcie.

kwiecień 2025 – październik 2026

© Andrzej Horubała 2026
Okładka: Zofia Horubała